

Książka nominowana do
NAGRODY BOOKERA 2018

ŚWIATŁA WOJNY



MICHAEL
ONDAATJE

Zdobywca Nagrody Bookera za powieść
ANGIELSKI PACJENT

ALBATROS

W roku 1945 rodzice wyjechali i zostawili nas pod opieką dwóch mężczyzn, którzy mogli być kryminalistami. Mieszkaliśmy w Londynie, przy ulicy o nazwie Ruvigny Gardens, i pewnego ranka matka lub ojciec oświadczyli, że po śniadaniu rodzina będzie musiała porozmawiać. Powiedzieli, że nas opuszczą i na rok wyjadą do Singapuru. To będzie nie taki długi, ale też niezbyt krótki wyjazd. W trakcie ich nieobecności zostaniemy oczywiście otoczeni troskliwą opieką. Pamiętam, że informując nas o tym, ojciec siedział na niewygodnym żelaznym krześle ogrodowym, a matka, stojąc w letniej sukience tuż za nim, patrzyła, jak na to zareagujemy. Po chwili ujęła rękę mojej siostry Rachel i przycisnęła do swojego boku, jakby chciała ją ogrzać.

Ani Rachel, ani ja nie odezwaliliśmy się słowem. Gapiliśmy się na ojca, który opisywał szczegółowo ich lot na pokładzie nowego samolotu Avro Tudor I, następcy bombowca Lancaster, osiągającego prędkość prawie pięciuset kilometrów na godzinę. Przed dotarciem do celu będą musieli co najmniej

dwa razy lądować i przesiadać się do innego samolotu. Wyjaśnił, że został szefem biura Unileveru na całą Azję i to dla niego wielki awans. Przyniesie to korzyść nam wszystkim. Przemawiał poważnym tonem, a matka w pewnym momencie odwróciła się i spojrzała na swój sierpniowy ogród. Kiedy ojciec przestał mówić, podeszła do mnie i widząc, że jestem zdezorientowany, przeczesła mi palcami włosy.

Miałem wtedy czternaście lat, a Rachel prawie szesnaście. Powiedzieli nam, że w wakacje będzie się nami zajmował opiekun, jak nazwała go matka. Mówili o nim jak o swoim koledze. Już go znaleźliśmy – wymyśliliśmy dla niego przydomek Ćma. W naszej rodzinie lubiliśmy nadawać ludziom przydomki, a to oznaczało, że lubiliśmy się też kamuflować. Rachel zdradziła mi już wcześniej, że jej zdaniem to kryminalista.

Cały ten układ wydawał się dziwny, ale tamten powojenny okres nadal był pełen zamętu i obfitował w zagrożenia, więc decyzji rodziców nie uznaliśmy za aż tak niezwykłą. Przyjęliśmy ją, jak to dzieci, do wiadomości, a Ćma, który od niedawna mieszkał u nas na trzecim piętrze, skromny mężczyzna, rosły, lecz przypominający ćmę w tym, jak się chyłkiem przemieszczał, miał stanowić rozwiązanie. Rodzice uznali widać, że jest godzien zaufania. Nie wiedzieliśmy, czy zdają sobie sprawę z tego, że może być na bakier z prawem.

Przypuszczam, że rodzice podejmowali kiedyś próby, by uczynić z nas zgraną rodzinę. Co jakiś czas ojciec zabierał mnie do pustego w weekendy i święta biura Unileveru i gdy on zajmował się swoimi sprawami, ja przemierzałem opuszczony, jak mi się zdawało, świat na dwunastym piętrze bu-

dynku. Odkryłem, że wszystkie szuflady w biurkach są zamknięte. Kosze na śmieci były puste, na ścianach nie wisiały żadne obrazki, ale na jednej z nich w biurze ojca zobaczyłem wielką trójwymiarową mapę, na której zaznaczono zagraniczne filie firmy: w Mombasie, Indonezji, na Wyspie Kokosowej. A bliżej nas: w Trieście, Heliopolis, Bengazi i Aleksandrii, miastach na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w których ojciec zarządzał, jak sądziłem, placówkami firmy. Tam właśnie rezerwowali przestrzeń ładunkową na setkach statków płynących na Wschód i ze Wschodu. W weekendy nie świeciły się lampki oznaczające te miasta i porty, i ginęły one wtedy w mroku, podobnie jak bardziej oddalone placówki.

W ostatnim momencie postanowiono, że matka spędzi z nami pozostałe letnie tygodnie, by przekazać opiekę nad nami lokatorowi z trzeciego piętra i przygotować nas do nowych szkół z internatem. W sobotę, tuż przed samotnym wylotem ojca na koniec świata, po raz kolejny towarzyszyłem mu w drodze do biura w pobliżu Curzon Street. Zaproponował długi spacer, bo przez kilka następnych dni, jak powiedział, będzie siedział skurczony w samolocie. Pojechalśmy więc autobusem do Muzeum Historii Naturalnej, a potem przeszliśmy przez Hyde Park do Mayfair. Ojciec był niezwykle ożywiony i wesoły, podśpiewywał: „Zgrzebne kołnierzyki, serca zgrzebnie tkane, podarte na strzępy gdzieś w stronach nieznanach”*, bez końca powtarzając tę jedną zwrotkę, prawie zawadziako, jakby to była życiowa maksyma. Zastanawiałem się, co to

* A.E. Housman, *From the wash the laundress sends, w: More Poems.*

może znaczyć. Pamiętam, że potrzebowaliśmy kilku kluczy, by dostać się do budynku, w którym biuro ojca zajmowało całe najwyższe piętro. Stałem przed nieoświetloną mapą, starając się zapamiętać miejsca, gdzie będzie w ciągu kilku najbliższych nocy lądował. Już wtedy uwielbiałem mapy. Ojciec stanął za mną i kiedy zapalił lampki, wypiętrzone na trójwymiarowej mapie góry zaczęły rzucać długie cienie. Ale w tym momencie patrzyłem nie na lampki, lecz na skąpane w jasno-błękitnej poświacie porty i wielkie obszary nieoświetlonej ziemi. Nie widziałem pełnego obrazu i podejrzewam, że Rachel i ja w podobnie ułomny sposób postrzegaliśmy małżeństwo naszych rodziców. Rzadko opowiadali nam o swoim życiu. Przywykliśmy do cząstkowych opowieści. Ojciec brał udział w ostatnich stadiach poprzedniej wojny i nie sądzę, by czuł się z nami naprawdę związany.

Co do ich wyjazdu, przyjęliśmy po prostu do wiadomości, że matka musi mu towarzyszyć; wydawało nam się, że nie może bez niego egzystować – była w końcu jego żoną. Jeśli zostaniemy sami, rodzina będzie znacznie mniej narażona na katastrofę, niż gdyby matka mieszkała dalej na Ruvigny Gardens i opiekowała się nami. Poza tym, jak nam wyjaśniali, nie mogliśmy nagle opuścić szkół, do których tak trudno było się dostać. Uściskaliśmy wszyscy ojca przed jego odlotem. Ćma zniknął taktownie na cały weekend.

* * *

I tak zaczęliśmy nowe życie. Nie do końca w to wówczas wierzyłem. I nadal nie wiem, czy okres, który nastąpił, zdefor-

mował mnie, czy wzmocnił. Przestały mnie wtedy krępować różne rodzinne konwenanse i ograniczenia i w rezultacie cechował mnie później jakiś brak pewności, jakbym zbyt szybko zaznał swobody. Tak czy inaczej, jestem teraz w wieku, kiedy mogę o tym mówić: o tym, jak dorastaliśmy pod opieką obcych. I jest w tym coś z demistyfikowania legendy: o naszych rodzicach, o Rachel i o mnie, o Ćmie i innych, którzy do nas później dołączyli. Przypuszczam, że opowieści tego rodzaju mają swoje tradycje i swoją stylistykę. Ktoś jest poddawany testowi. Nie wiadomo, kto ma patent na prawdę. Ludzie nie są tymi, kim nam się wydają, i nie są tam, gdzie wydaje się nam, że są. I jest ktoś, kto obserwuje to wszystko, nie wiadomo skąd. Pamiętam, że matka uwielbiała rozprawiać o dwuznacznych misjach, jakie powierzano lojalnym rycerzom w arturiańskich legendach, i opowiadała te historie, umieszczając czasami akcję w jakiejś konkretnej małej wiosce na Bałkanach albo we Włoszech, w której, jak twierdziła, sama była i mogła nam ją pokazać na mapie.

Po wyjeździe ojca stała się bardziej obecna w naszym życiu. Rozmowy rodziców, które czasami słyszeliśmy, dotyczyły zawsze spraw dorosłych. Za to teraz zaczęła nam opowiadać o sobie, o tym, jak dorastała na wsi w hrabstwie Suffolk. Najbardziej podobała nam się opowieść o „rodzinie na dachu”. Nasi dziadkowie mieszkali w rejonie Suffolk, który nosi nazwę The Saints, gdzie ciszy nie zakłócało nic z wyjątkiem szumu rzeki i kościelnych dzwonów bijących od czasu do czasu w pobliskiej wiosce. Ale kiedyś na ich dachu zamieszkała na cały miesiąc rodzina składająca się z brodatego ojca i trzech synów, któ-

rzy rzucali różnymi przedmiotami i pokrzykiwali do siebie tak głośno, że hałas przenikał przez sufit i zakłócał życie jej rodziny. Najmłodszy syn był najcichszy i to on przeważnie wnosił po drabinie wiadra z wodą dla tych na dachu. Jednak za każdym razem, gdy matka wychodziła z domu, by wybrać jajka z kurnika albo wsiąść do samochodu, widziała, że ją obserwuje. To byli strzecharze, pracujący przez cały dzień przy naprawie dachu. Przed kolacją zabierali swoje drabiny i odchodzili. Ale pewnego dnia silny podmuch wiatru przewrócił najmłodszego syna, chłopak spadł z dachu, strzaskał lipową pergolę i wylądował na kamiennych płytach przy kuchni. Bracia zanieśli go do domu. Chłopak, o imieniu Marsh, złamał sobie biodro, a lekarz, którego wezwano, założył mu na nogę gips i oświadczył, że nie wolno go nigdzie przemieszczać. Aż do zakończenia remontu musiał leżeć na tapczanie w kuchni. Do obowiązków naszej matki – miała wtedy osiem lat – należało dostarczanie mu posiłków. Od czasu do czasu przynosiła mu jakąś książkę, ale był tak nieśmiały, że prawie się nie odzywał. Te dwa tygodnie wydawały mu się pewnie całą wiecznością, mówiła nam. Wreszcie, kiedy praca została wykonana, ojciec i bracia zabrali chłopca i zniknęli.

Za każdym razem, gdy ja i siostra przypominaliśmy sobie tę historię, mieliśmy wrażenie, że to fragment bajki, której sens częściowo nam umyka. Matka opowiadała ją w beznamiętny sposób, pomijając – jak to się zwykle dzieje w odgrzewanych opowieściach – dramatyzm samego upadku. Prosiłyśmy pewnie, by powiedziała coś więcej o chłopcu, który spadł

z dachu, ale był to jedyny incydent, jakim zechciała się z nami podzielić – burzowe popołudnie, kiedy usłyszała ciężki łoskot ciała spadającego przez gałązki i liście lipowej pergoli i lądującego na kamiennych płytach. Jeden jedyny epizod z owianego tajemnicą życia naszej matki.

Ćmy, naszego lokatora z trzeciego piętra, nie było przeważnie w domu, ale czasem wracał dość wcześnie, by móc zjeść razem z nami kolację. Był teraz zapraszany do stołu i zanim godził się w końcu usiąść, miał zwyczaj długo robić ceregiele i wymachiwać rękami. Zwykle jednak kupował sobie wieczorem coś do jedzenia na Bigg's Row. Duża część tej ulicy została zniszczona podczas niemieckich nalotów i stało tam teraz kilka ulicznych wózków oferujących przekąski. Zawsze wyczuwaliśmy jego ostrożną obecność, gdy kręcił się po domu, i nigdy nie wiedzieliśmy, czy jego zachowanie wynikało z nieśmiałości, czy z trawiącego go niepokoju. To oczywiście miało się zmienić. Z okna mojej sypialni widywałem czasem, jak rozmawia w ciemnym ogrodzie z matką, zdarzało się też, że pił z nią herbatę. Przed rozpoczęciem roku szkolnego usilnie przekonywała go, by udzielił mi korepetycji z matematyki, przedmiotu, z którym notorycznie sobie nie radziłem i z którym miałem sobie nie radzić jeszcze długo po tym, jak Ćma zaniechał wszelkich prób nauczenia mnie czegokolwiek. W ciągu tych pierwszych dni jedyną złożonością, jaką udało mi się dostrzec w naszym opiece, była ta kryjąca się w prawie trójwymiarowych szkicach, które narysował, bym zrozumiał lepiej jakieś twierdzenie z geometrii.

Kiedy pojawiał się temat wojny, moja siostra i ja staraliśmy się dowiedzieć, gdzie wówczas przebywał i co robił. Był to okres snucia prawdziwych i fałszywych wspomnień, a ja i Rachel należeliśmy do ciekawskich. Ćma i matka napomykali o ludziach, z którymi się wtedy zetknęli. Nie ulegało wątpliwości, że znała go, nim jeszcze u nas zamieszkał, lecz jego wojenne wyczyny nas zaskoczyły, bo Ćma nigdy nie sprawiał wrażenia wielkiego wojaka. To, że jest w domu, zazwyczaj sygnalizowała płynąca z radia cicha fortepianowa muzyka, a jego obecne zajęcie miało coś wspólnego z księgowością i wypłatami pensji. Tak czy inaczej, po dłuższym nagabywaniu dowiedzieliśmy się, że oboje pełnili służbę przeciwpożarową w miejscu, które nazywali Bocianim Gniazdem, na dachu hotelu Grosvenor House. Słuchaliśmy ich, siedząc w piżamach i popijając mleko słodowe. Niekiedy przytaczali jakąś anegdotę. Któregoś wieczoru, na krótko przed naszym wyjazdem do nowych szkół, matka prasowała nam koszulę w rogu salonu, a Ćma stał niepewnie u stóp schodów; najwyraźniej gdzieś się wybierał i tylko częściowo dotrzymywał nam towarzystwa. I nagle, zamiast wyjść z domu, zaczął opowiadać, jak kiedyś w nocy, podczas zaciemnienia, nasza matka prowadziła brawurowo samochód, wioząc jakichś ludzi do oddziału, który nazwał „jednostką z Berkshire”, i tylko „kilka kostek czekolady i wpadające przez otwarte okna chłodne powietrze” nie pozwalały jej zasnąć. Słuchała go tak uważnie, tak bardzo chłonęła jego nie do końca jasną opowieść, że podniosła trzymane w prawej ręce żelazko, żeby nie wypalić przypadkiem dziury w kołnierzyku.

Powinienem był się wtedy domyślić.

W swoich relacjach celowo zamazywali chronologię. Dowiedzieliśmy się, że matka, przyciskając do uszu słuchawki i sprawdzając różne częstotliwości, przechwytywała niemieckie depesze i przekazywała informacje na drugą stronę kanału La Manche z położonego w Bedfordshire miejsca o nazwie Chicksands Priory, a także z Bocianiego Gniazda na dachu hotelu Grosvenor House, co niewiele miało wspólnego, jak ja i Rachel zaczęliśmy podejrzewać, ze służbą przeciwpożarową. Stopniowo uświadamialiśmy sobie, że matka potrafi więcej, niż nam się zdawało. Czy te piękne białe ręce i delikatne palce zabiły kiedyś człowieka, bez cienia skrupułów? Patrząc, jak wbiega z gracją po schodach, dostrzegałem, jaka jest wysportowana. Wcześniej nie zwracaliśmy na takie rzeczy uwagi. W ciągu tego miesiąca pomiędzy wyjazdem jej i ojca, zanim zaczął się rok szkolny, odkrywaliśmy bardziej zaskakujące i intymne oblicze matki. A ta krótka chwila, gdy stała z podniesionym żelazkiem, słuchając wspominającego dawne czasy Ćmy, mocno utrwaliła się nam w pamięci.

Bez ojca dom wydawał się bardziej swobodny i przestronny i staraliśmy się spędzać z matką jak najwięcej czasu. Słuchając radiowych kryminałów, siedzieliśmy przy zapalonych światłach, by móc obserwować wzajemnie swoje twarze. Te słuchowiska bez wątpienia nudziły matkę, ale upieraliśmy się, by nam towarzyszyła, gdy z głośnika dobiegał odgłos syreny przeciwmgielnej, zawrozenie wiatru na wrzosowiskach, powolne kroki przestępcy albo brzęk tłuczonej szyby. Słuchając tego, przez cały czas pamiętałem o jej nocnej jeździe w stronę wybrzeża. Jednak co do radia, o wiele bardziej lubiła położyć

się w sobotnie popołudnie na szezlongu i ignorując książkę, którą trzymała w rękach, słuchać nadawanej w BBC audycji *The Naturalist's Hour*. To przypomina jej Suffolk, mówiła. Rachel i ja klęczeliśmy na dywanie, układając puzzle i łącząc segmenty błękitnego nieba, a z radia dobiegał głos mężczyzny, który opowiadał bez końca o leśnych owadach i płynących przez kredowe skały strumieniach, gdzie łowił ryby. Robiło to na nas wrażenie odległego i mikroskopijnego świata.

Pewnego razu Rachel, matka i ja wybraliśmy się pociągiem ze stacji Liverpool Street do jej rodzinnego domu w Suffolk. W tamtym roku nasi dziadkowie zginęli w wypadku samochodowym i obserwowaliśmy teraz, jak matka przemierza w milczeniu ich dom. Pamiętam, że musieliśmy zawsze chodzić ostrożnie skrajem holu, bo stuletnie drewniane klepki głośno skrzypiały. „To słowicza podłoga – mówiła nam babcia. – Ostrzega nas w nocy przed złodziejami”. Rachel i ja skakaliśmy po tych klepkach, kiedy się tylko dało.

Ale najszczęśliwsi byliśmy z matką w Londynie. Pragnęliśmy jej niedbałego i sennego uczucia bardziej, niż dane nam było dotąd go zaznać. Można by pomyśleć, że wróciła do wcześniejszej wersji samej siebie. Przed wyjazdem ojca była energiczną i sprawną matką: wychodziła do pracy, kiedy szliśmy do szkoły, i wracała zazwyczaj dość wcześnie, by zjeść z nami kolację. Czy ta nowa wersja wynikała z tego, że nie było z nią męża? A może rzecz była bardziej złożona, może szykowała się do rozstania z nami i tak właśnie chciała zostać zapamiętana? Przygotowując mnie do szkoły, pomagała mi we francuskim i przy lekturze łacińskiego oryginału *Wojny ga-*

lijskiej Cezara; świetnie znała oba te języki. Co jeszcze bardziej zaskakujące, zachęcała nas do wystawiania w domowym zaciszu różnych inscenizacji, w których przebieraliśmy się za księży albo chodziliśmy zamaszystym krokiem na piętach, jak marynarze i złoczyńcy.

Czy inne matki też się tak zachowywały? Czy padały, jęcząc, na kanapę z wbitym w plecy sztyletem? W obecności Ćmy nie pozwalaliśmy sobie na takie rzeczy. Ale po co to wszystko robiła? Czy nudziły ją codzienne matczyne obowiązki? Czy przebieranie się czyniło ją kimś innym, nie tylko naszą matką? Najwspanialsze były chwile, gdy o pierwszym brzasku zakradaliśmy się, niczym nieśmiałe psiaki, do jej sypialni i patrzyliśmy na jej nieumalowaną twarz, zamknięte oczy, białe ramiona i dłonie, które wyciągała, by nas uściskać. Bez względu na godzinę nigdy nie spała, zawsze była gotowa na nasze przyście. Ani razu jej nie zaskoczyliśmy. „Chodź, Klamerko. Chodź, Strzyżyku”, mruzczała, używając przezwisk, które sama nam wymyśliła. Podejrzewam, że Rachel i ja czuliśmy wtedy, że mamy prawdziwą matkę.

Na początku września przydźwigano z piwnicy wielki kufer i patrzyliśmy, jak wypełnia się sukienkami, butami, naszyjnikami, angielską literaturą, mapami oraz przedmiotami i ekwipunkiem, których, jak mówiła, nie spodziewa się znaleźć na Wschodzie, a nawet niepotrzebną, jak się zdawało, wełnianą odzież; twierdziła, że w Singapurze zdarzają się „rześkie” wieczory. Kazała Rachel czytać na głos fragmenty bedekera, dotyczące ukształtowania terenu i komunikacji autobusowej, a także miejscowe frazy w rodzaju „Dosyć!”, „Więcej” i „Jak

to daleko?”. Recytowaliśmy je głośno z „orientalnym”, jak sądziliśmy, akcentem.

Może myślała, że jej spokój i rzeczowość przy pakowaniu tego wielkiego kufra sprawią, że nie poczujemy się tak bardzo porzuceni, że będą dla nas racjonalnym uzasadnieniem jej podróży. Niemal jakbyśmy oczekiwali, że wejdzie do tej czarnej drewnianej skrzyni z mosiężnymi okuciami, przypominającej trumnę, i że ją od nas deportują. Całe to pakowanie trwało kilka dni i robiło wrażenie niespiesznego i fatalistycznego, niczym niekończąca się opowieść o duchach. Nasza matka miała się przeobrazić. Zmienić się w kogoś, kto będzie dla nas niewidzialny. Być może Rachel odczuwała to inaczej. Była przeszło rok starsza ode mnie. Możliwe, że dostrzegała w tym jakąś teatralność. Ale dla mnie to ciągle zastanawianie się i przepakowywanie było zapowiedzią ostatecznego zniknięcia matki. Przed jej wyjazdem dom był naszą twierdzą. Tylko kilka razy przespacerowaliśmy się brzegiem rzeki. Mówiła, że w nadchodzących tygodniach zdąży się napodróżować.

I nagle okazało się, że z jakiegoś powodu musi wyjechać wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Moja siostra poszła do łazienki, pomalowała sobie twarz na biało, uklękła u szczytu schodów, z tą pozbawioną emocji twarzą, objęła balustradę i nie chciała jej puścić. Stojąc z matką przy frontowych drzwiach, usiłowałem przekonać Rachel, by do nas zeszła. Mogło się zdawać, że matka specjalnie to zaaranżowała, by nie dopuścić do łzawego pożegnania.

Mam jej fotografię, na której prawie nie widać twarzy. Rozpoznaję matkę tylko po sylwetce, ułożeniu ciała, choć

zdjęcie zrobiono jeszcze przed moim urodzeniem. Ma siedemnaście lub osiemnaście lat i sfotografowali ją rodzice nad brzegiem rzeki w Suffolk. Przed chwilą w niej pływała, a teraz włożyła sukienkę i stanęła na jednej nodze, żeby włożyć but na drugą. Głowę ma pochyloną, twarz zasłaniają jasne włosy. Znalazłem tę fotografię wiele lat później w gościnnej sypialni, razem z innymi rzeczami, których nie chciała wyrzucić. Wciąż mam ją przy sobie. Fotografię tej prawie anonimowej osoby, niezgrabnie balansującej, by nie upaść. Już wtedy incognito.

* * *

W połowie września stawiliśmy się w naszych szkołach. Podczas gdy wszyscy inni uczniowie wiedzieli, że w zasadzie zostali porzuceni, my, nie mieszkając dotąd w internacie, nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda tamtejsze życie. Nie mogliśmy go znieść i już dzień po przyjeździe napisaliśmy do rodziców na adres skrzynki pocztowej w Singapurze, błagając, by nas zabrali. Domyślałem się, że list dojedzie pocztową furgonetką na nabrzeże Southampton i dalej popłynie na pokładzie statku, który bez zbytniego pośpiechu będzie zawijał do dalekich portów i z nich wypływał. Zdawałem sobie sprawę, że przy tej odległości nasza litania skarg wyda się po sześciu tygodniach bez znaczenia. Na przykład to, że musiałem schodzić po ciemku trzy piętra, by odnaleźć w nocy łazienkę. Większość chłopców sikała na ogół do jednej z umywalk na naszym piętrze, obok tej, gdzie myśliśmy zęby. Było to uświęconą od pokoleń tradycją – spływający przez dziesięciolecia mocz pozostawił

wyraźną smugę w używanej do tego celu emaliowanej umywalce. Pewnej nocy jednak, gdy odlewałem się do niej, na pół przysypiając, spostrzegłem przechodzący obok kierownik internatu. Nazajutrz rano na apelu wygłosił pełną oburzenia tyradę na temat nikczemnego aktu, jakiego był świadkiem; posunął się do stwierdzenia, że z czymś tak obscenicznym nie zetknął się nawet w ciągu czterech lat, które spędził na wojnie. Milczenie siedzących w auli zszokowanych chłopców brało się w gruncie rzeczy z niedowierzania, że kierownik nie zna tradycji funkcjonującej od czasów, gdy uczniami szkoły byli Shackleton i P.G. Wodehouse (choć pierwszego podobno z niej wydalono, a drugi dopiero po wielu sporach uzyskał tytuł szlachecki). Ja też liczyłem, że mnie wydała; niestety, zostałem tylko pobity przez prefekta, który śmiał się przy tym do rozpuku. Tak czy inaczej, nawet po opisanii swej zbrodni w szybko wysłanym drugim liście, raczej nie spodziewałem się od rodziców wyważonej odpowiedzi. Czepiałem się nadziei, że na pomysł oddania nas do szkoły z internatem wpadł ojciec, nie matka, więc być może to ona jest naszą ostatnią deską ratunku.

Szkoły moją i siostry dzielił niespełna kilometr i żeby się ze sobą kontaktować, musieliśmy pożyczać rowery i spotykać się na błoniach. Rachel i ja ustaliliśmy, że cokolwiek zdecydujemy się zrobić, zrobimy to razem. Dlatego w połowie drugiego tygodnia, zanim jeszcze nasze błagalne listy dotarły do Europy, po ostatniej lekcji wymknęliśmy się razem z uczniami, którzy nie mieszkali w internacie, zaczekaliśmy aż do wieczora na Victoria Station i kiedy byliśmy pewni, że

Ćma jest już w domu i nas wpuści, wróciliśmy na Ruvigny Gardens. Oboje wiedzieliśmy, że jest jedynym dorosłym, który ma jakiś wpływ na matkę.

– No co, nie mogliście się doczekać weekendu? – zapytał tylko. W fotelu, w którym zwykle zasiadał mój ojciec, siedział jakiś chudy facet. – To pan Norman Marshall. Był najlepszym bokserem wagi półśredniej na północ od Tamizy. Miał ksywkę Krogulec z Pimlico. Może o nim słyszeliście?

Pokręciliśmy głowami. Bardziej niepokoiło nas to, że Ćma zaprosił do domu rodziców kogoś, kogo nie znaleźliśmy. Nigdy nie braliśmy pod uwagę takiej możliwości. Martwiła nas także ucieczka z internatu i to, jak ją potraktuje nasz niesprawdzony opiekun. Z jakiegoś powodu Ćma nie przejął się jednak zbyt-
nio naszą rejteradą w środku tygodnia.

– Na pewno jesteście głodni. Podgrzeję trochę fasoli w sosie pomidorowym. Jak tu dotarliście?

– Pociągiem. Potem autobusem.

– Znakomicie – rzucił Ćma, po czym odmaszerował do kuchni, zostawiając nas z Krogulcem z Pimlico.

– Jest pan jego znajomym? – zapytała Rachel.

– Skądże znowu.

– W takim razie co pan tu robi?

– To fotel mojego ojca – dodałem.

– To on chciał, żebym tu wpadł, złotko – zwrócił się do Rachel, całkowicie mnie ignorując. – W ten weekend chce ob-
stawić psa w Whitechapel. Byłaś tam kiedyś?

Rachel milczała, jakby się w ogóle do niej nie odezwał. Fa-
cet nie był nawet znajomym naszego lokatora.

– Zapomniałaś języka w gębie? – mruknął, a potem skierował swoje jasnobłękitne oczy na mnie. – Oglądałeś kiedyś wyścigi psów? – zapytał.

Pokręciłem głową i w tym momencie do pokoju wrócił Ćma.

– Proszę bardzo. Dwa razy fasola w sosie pomidorowym.
– Oni nigdy nie byli na wyścigach psów, Walter.

Walter?

– Powinienem ich zabrać w tę sobotę – powiedział Ćma. –
O której godzinie jest twój wyścig?

– Puchar O’Meary jest zawsze o trzeciej po południu.
– Dzieciaki mogą czasami wyrwać się tu na weekend, jeśli napiszę im usprawiedliwienie.

– Właściwie... – zaczęła Rachel. Ćma spojrzał na nią i czekał na ciąg dalszy. – Właściwie nie chcemy tam wracać.

– Spadam stąd, Walter. Wygląda na to, że masz problem.
– Żaden problem – odparł lekkim tonem Ćma. – Jakoś to załatwimy. Nie zapomnij dać mi znać. Nie chcę postawić forsy na jakiegoś lewego psa.

– Święta racja. Święta racja... – Krogulec wstał, położył krzepiącym, raczej dziwnym gestem dłoń na ramieniu mojej siostry i zostawił nas samych.

Nasz opiekun przyglądał się nam beznamietnie, kiedy pałaszowaliśmy fasolę.

– Zadzwońię do szkoły i powiem, żeby się nie martwili. W tym momencie srają pewnie ze strachu.

– Jutro rano mam sprawdzian z matmy – wyznałem, grając w otwarte karty.

– O mało go nie wylali, bo sikał do umywalki! – nie omieszkała dodać Rachel.

Jakiegokolwiek wpływy posiadał Ćma, użył ich w szybki i dyplomatyczny sposób. Odwiózł nas nazajutrz wczesnym rankiem z powrotem do szkoły i przez trzydzieści minut rozmawiał z dyrektorem, niskim, budzącym postrach mężczyzną, który zawsze przemierzał w milczeniu korytarze, w butach z podeszwami z krepy. Zszokowało mnie, że człowiek, który stołuje się na ulicy, ma tego rodzaju dojścia. Tak czy owak, tamtego ranka wróciłem do klasy jako uczeń nieskoszarowany, a Ćma udał się razem z Rachel do jej szkoły, by negocjować rozwiązanie drugiej połowy problemu. I tak w drugim tygodniu roku szkolnego przestaliśmy mieszkać w internacie. Woleliśmy się nie zastanawiać, jak rodzice przyjmą tę radykalną zmianę w naszym życiu.

Pod opieką Ćmy większość posiłków zaczęliśmy kupować w ulicznych wózkach. Bigg's Row od początku wojny była nieprzejezdna. Kiedy kilka lat wcześniej Rachel i ja zostaliśmy ewakuowani i zamieszkaliśmy u dziadków w Suffolk, niemiecka bomba, wymierzona najpewniej w Putney Bridge, spadła i wybuchła na High Street, niecałe pół kilometra od Ruvigny Gardens. W gruzy obróciły się wtedy Black & White Milk Bar i Cinderella Dance Club. Zginęło prawie sto osób. To była noc ze świecącym na niebie „księżycem bombowców”, jak nazywała go babcia – w miastach i wsiach obowiązywało co prawda zaciemnienie, ale w księżycowej poświacie widać było wszystko jak na dłoni. Nawet kiedy pod koniec wojny wróciliśmy na Ruvigny Gardens, wiele domów w sąsiedztwie

nadal było zburzonych, a z trzech albo czterech ulicznych wózków przy Bigg's Row sprzedawano to, co docierało tutaj z centrum miasta i czego nie zjedzono w hotelach na West Endzie. Krążyły plotki, że Ćma maczał palce w kierowaniu części tych nadwyżek na południe od Tamizy.

Żadne z nas nie stołowało się wcześniej na ulicy, lecz teraz stało się to dla nas regułą – nasz opiekun nie miał ochoty gotować posiłków ani nawet pozwolić, by mu je gotowano. Wolał, jak to określał, „życie w biegu”. Dlatego prawie co wieczór staliśmy z nim obok śpiewaczki operowej i miejscowych krawców i tapicerów, którzy z przypiętymi do pasków narzędziami dyskutowali zażarcie o wydarzeniach dnia. Na ulicy Ćma był bardziej ożywiony, wodził bystro oczami zza szkielec swoich okularów. Bigg's Row wydawało się jego prawdziwym domem, teatrem, w którym wcale się nie krępował, podczas gdy siostra i ja czuliśmy się tam intruzami.

Mimo bezpośredniości, jaką okazywał w czasie tych ulicznych posiłków, Ćma był człowiekiem skrytym. Rzadko kiedy zdradzał nam swoje uczucia. Z wyjątkiem kilku dziwnych pytań – parokrotnie zagadnął mnie od niechcienia o mieszczącą się na terenie mojej szkoły galerię sztuki i prosił, bym narysował mu plan jej piętra – jego zainteresowania, podobnie jak wojenne przygody, pozostawały dla nas zagadką. Tak naprawdę nie potrafił swobodnie rozmawiać z młodymi ludźmi.

– Tylko posłuchajcie... – Jego oczy uniosły się na chwilę znad rozłożonej na stole w jadalni gazety. – Pan Rattigan stwierdził podobno, że prawdziwa słabość Anglików to nie pederastia ani samobiczowanie, lecz ich niezdolność do wy-

rażania emocji. – W tym momencie przerwał i czekał na naszą reakcję.

Z typową dla nastolatków pewnością siebie uważaliśmy, że Ćma nie ma w sobie nic, co mogłoby pociągać kobiety. Moja siostra sporządziła listę jego cech. Gęste czarne, niewygięte w łuk brwi. Wielkie, lecz sprawiające sympatyczne wrażenie brzuszysko. Duży nochal. Jak na dyskretnego mężczyznę, który uwielbiał muzykę klasyczną i przemierzał zazwyczaj dom w milczeniu, potrafił bardzo głośno kichać. Powietrze wydostawało się wówczas gwałtownie nie tylko z jego ust, ale i z głębin tego wielkiego, wyglądającego sympatycznie brzucha. Zaraz potem następowały trzy albo cztery kolejne głośne kichnięcia. Późno w nocy dobiegały całkiem wyraźnie z jego pomieszczeń na poddaszu, jakby był szkolonym w emisji głosu aktorem, którego szept dociera do najdalszego rzędu.

Wieczorami najczęściej siedział i przerzucał numery „Country Life”, studiując zdjęcia okazałych rezydencji i sącząc przez cały czas coś, co wyglądało jak mleko, z przypominającego na parstek błękitnego kieliszka. Jak na kogoś, kto z taką dezaprobatą wypowiadał się o ekspansji kapitalizmu, Ćma okazywał ogromne zainteresowanie arystokracją. Najbardziej fascynował go gmach Albany, do którego wchodziło się z Piccadilly przez ustronny zamknięty dziedziniec. „Chciałbym się tam przespacerować”, mruknął kiedyś. Rzadko kiedy ujawniał w ten sposób swoje przestępcze ciągoty.

Opuszczał nas na ogół o świcie i wracał dopiero o zmierzchu. W drugi dzień Bożego Narodzenia, wiedząc, że nie mam nic do roboty, zabrał mnie ze sobą na Piccadilly Circus. O

siódmej rano stąpałem już z nim po grubym dywanie holu sal bankietowych Criterionu, gdzie nadzorował pracę w większości cudzoziemskiego personelu. Po wojnie zaczął się najwyraźniej okres świętowania. Przez pół godziny Ćma wyznaczał podległym mu ludziom najprzeróżniejsze zadania – odkurzanie korytarzy, mycie i suszenie dywanów na schodach, werniksowanie poręczy, przetransportowanie stu brudnych obrusów na dół do pralni. Zależnie od wielkości bankietu – czy miało to być przyjęcie na cześć nowego członka Izby Lordów, bar micwa, bal debutantek, czy ostatnie przed śmiercią urodziny jakiejś dostojnej wdowy – tak dyrygował personelem, że olbrzymie puste sale bankietowe przechodziły widoczną z minuty na minutę metamorfozę, aż w końcu wypełniało je sto stołów i sześćset krzeseł, gotowych na nocną fetę.

Czasami Ćma musiał być obecny w czasie tych wieczornych imprez – rzeczywiście podobny do ćmy na tonących w półmroku obrzeżach pełnej złocien sali. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wolał te wczesnoporanne godziny, kiedy w długiej na trzydzieści metrów Wielkiej Sali krzątali się, jakby wzięci żywcem z muralu, pracownicy, których nigdy nie widzieli na oczu wieczorni goście. Byli tam ludzie obsługujący gigantyczne odkurzacze, mężczyźni na drabinach, którzy ściągali dziesięciometrowymi miotełkami pajęczyny z żyrandoli, i politurnicy usuwający z drewnianych powierzchni zapachy poprzedniej nocy. Nic nie mogło się bardziej różnić od opustoszałych biur mojego ojca. Kojarzyło się to raczej ze stacją kolejową, na której każdy pasażer wiedział, dokąd zmierza. Wspiąwszy się po wąskich metalowych schodach tam, gdzie wieczorami pod-

czas tańców zapalano lampy łukowe, spojrzałem w dół i zobaczyłem ich wszystkich, a pośrodku tego ogromnego ludzkiego morza wielką postać Ćmy, siedzącego samotnie przy jednym ze stu okrągłych stołów, otoczonego miłym jego sercu chaosem, wypełniającego karty pracy i jakimś cudem doskonale wiedzącego, gdzie każdy jest albo powinien być w tym pięciopiętrowym budynku. Przez cały ranek organizował pracę ludzi polerujących srebra i dekorujących torty, oliwiających kółka w wózkach i drzwi wind, usuwających kłaki i wymiociny, wymieniających mydła przy umywalkach i chlorowe kostki w urnałach i polewających chodnik przed wejściem; a także pracę imigrantów ozdabiających urodzinowe torty niewymówionymi nigdy wcześniej angielskimi imionami, krojących cebulę, rozpruwających straszными nożami świnię i przygotowujących wszystko, czego dwanaście godzin później mogli sobie zażyczyć goście w sali Ivora Novello lub w sali Miguela Invernio.

Tamtego popołudnia wyszliśmy z budynku punktualnie o trzeciej. Ćma przepadł gdzieś, a ja wróciłem samotnie do domu. Wieczorami nasz opiekun zaglądał czasem w nagłych przypadkach do Criterionu, ale to, co robił między trzecią a swoim powrotem na Ruvigny Gardens, miało dla nas pozostać zagadką. Był człowiekiem wielu drzwi. Czy istniały jakieś inne zajęcia, którym się oddawał, poświęcając na to choćby kilka godzin? Jakaś szczytna działalność charytatywna albo zakłócanie porządku? Zdaniem osoby, którą spotkaliśmy, przez dwa popołudnia w tygodniu udzielał się w radykalnym i semickim Międzynarodowym Związku Krawców, Szwaczek

i Prasowaczy. Ale była to prawdopodobnie błąka, tak samo jak bajki o jego służbie przeciwpożarowej w Gwardii Krajowej podczas wojny. Dach hotelu Grosvenor House, co zdążyłem już odkryć, nadawał się po prostu najlepiej do utrzymywania łączności radiowej z alianckimi oddziałami, które operowały w Europie za liniami wroga. Tam właśnie Ćma po raz pierwszy pracował z naszą matką. Nie tak dawno z wypiekami na twarzy chłonęliśmy te strzępy opowieści o ich wojennych losach, ale po jej wyjeździe Ćma nie zająknął się już na ten temat ani słowem.